

# ŻEGLARSKIE WIGILIE

Zdarza się, że ten szczególny wieczór żeglarze i marynarze spędzają z dala od domów. Wysłuchaliśmy kilku opowieści o takich Wigiliach w odległych, egzotycznych portach lub na morzu. Posłuchajcie i Wy.

## GWIAZDKA PO TURECKU

Andrzej Napierkowski

**B**ył rok osiemdziesiąty siódmy. Późną jesienią - gdzieś tak w połowie listopada zacząłem snuć plany na zimę. Indywidualny tok studiów bardzo ułatwiał mi wypełnianie najprzeróżniejszych wariactw, więc postanowiłem skorzystać z zaproszenia na wspólne treningi z kadrą szwajcarskich narciarzylpejczyków

- w samo serce górzystej Helwecji, do Wengen.

Początek zgrupowania zaplanowano na trzydziestego grudnia - miałem więc trochę czasu, by gdzieś zrobić i zaoszczędzić parę groszy, bez których w krainie banków poruszać się trudno. Wykonałem jeden telefon. Dwa dni później wyposażony

w paszport pachnący świeżą wizą, objuczony trzema parami Dynastarów i plecakiem zapakowałem się na Okęciu w aeroplan i odleciałem do Wiednia, a stamtąd dalej - do... Izmiru. Dostałem propozycję pracy w tamtejszym porcie, przy konserwacji jachtów. Zwariowane to życie - Turcy, podobnie jak nasi rodacy jeździli gromadnie zarabiać do Niemiec i Austrii, a ja, na przekór regule, udałem się w kierunku przeciwnym.

Szybko zapoznałem się z trzema miejscowymi współpracownikami - Tansu, Ademem i Mustafą. Pracowaliśmy u prywatnych armatorów przy naprawach i remontach najprzeróżniejszych jachtów - na ogół dużych, drewnianych.

Tydzień przed świętami Bożego Narodzenia otrzymaliśmy zlecenie: przeprowadzić piękny dwumasztowy szkuner do jednej ze stoczni położonych w pobliżu Marmarisu. Trudno o lepszą atrakcję w grudniu. Morze Egejskie jakby trochę zimowo pofalowane, wiatr już nie taki ciepły, ale przyjemną czwórką ze wschodu gnał łajbę pośród licznych wysepek skutecznie. Umówiliśmy się z właścicielem, że jednostkę dostarczymy na miejsce w dziesięć dni. Dystans wy-



ALANYA wygląda gwiazdki

nosił zaledwie trzysta pięćdziesiąt mil, ale postanowiliśmy zajrzeć jeszcze tu i tam -wykorzystać rejs dla celów wypoczynkowo-krajoznawczych.

Któregoś wieczoru Tansu, z którym najłatwiej było mi rozmawiać, bo studiował w Pradze i liźnął nieco języków słowiańskich, zaczął mnie podpytywać o Boże Narodzenie, Świętego Mikołaja, Wigilię i tak dalej. Opowiedziałem - o pierwszej gwiazdce na niebie, o potrawach, prezentach, pasterce i dwóch dniach świąt. Jak się okazało, w zamiarach przyjaciół krył się podstęp, co wyszło na jaw dwudziestego czwartego grudnia. Zupełnie nie rozumiałem, po co Adem złowił całe wiadro ryb, nie rozumiałem także, w jakim celu towarzysze znikali na długo pod pokładem i w tajemnicy przede mną coś tam robili.

Bomba wybuchła, gdy o zmierzchu wyczłapali na pokład i niespokojnie zaczęły zadzierać głowy w kierunku nieboskłonu. Podeszli do sprawy bardzo poważnie. Gdyby było pełne zachmurzenie, nie zjedlibyś-

my na kolację ani kęsa. Na szczęście coś tam u góry zamrugało i w jednej z malowniczych zatoczek zostałem zaproszony na uroczystą ucztę. Coś nieprawdopodobnego. Było chyba dziesięć potraw z ryb, kaszy, kuskusu, były ciasta własnej produkcji i wspaniałe tureckie wino.

Na tym jednak nie koniec. Absolutnie zbaraniałem, gdy powróciłem do swojej kabiny. Do dziś nie mam pojęcia, jakim sposobem udało się kompanom przemycić na pokład kolczastego drapak, przybrać go kolorowymi papierkami i wstawić nieopstrzeżenie do mojego M-1. Pod „choinką” znalazłem prezent - przepiękną turecką fujarkę, wykonaną i rzeźbioną własnoręcznie przez Mustafę, naszego specja od prac „drewnianych”. Zrobiło mi się wstyd, że nie mogę się zrewanżować i w ogóle o tym nie pomyślałem. Coś jednak zrobić musiałem. Po kilku minutach prób udało mi się z fujarki wydobyć kilka polskich kolęd. Szybko więc zaprosiłem kumpli na koncert.

Komuś u góry chyba bardzo się podobało, bo stał się cud. Rankiem obudziły mnie wrzaski Mustafy. Okazało się, że temperatura na dworze spadła do czterech stopni, a pokład pokryła centymetrowa warstwa tajemniczej białej substancji, znanej Mustafie tylko z opowieści i telewizji. Skorzystałem z okazji i pozwoliłem sympatycznemu Turkowi na krótki spacer wzdłuż pokładu na moich nartach. Bardzo był zachwycony...

Dwa dni później zaparkowaliśmy okręt na... zboczach stoczni. Tak, na zboczach. Daleko na południu jachty wykonuje się ręcznie na plażach i stokach nabrzeża, pod gołym niebem. Wsiadliśmy w samochód i udaliśmy się w drogę powrotną. Po następnych dwóch dniach siedziałem już w samolocie do Wiednia, później do Zurichu. Trzydziestego stawiłem się na starcie treningu zjazdowców na słynnej trasie w Wengen. Padał śnieg, było piętnaście stopni mrozu i ciepłe pozostały tylko wspomnienia.

## POSTNE STRUSIE JAJO

Iwona Jaczyńska

Pamiętam trzy Wigilie spędzane wraz z przyjaciółmi gdzieś w świecie, na szczęście zawsze zdążyliśmy wtedy przybić do portu i choć nie był to port macierzysty, jednak można było ułamać jakąś imitację choinki i zdobyć zastępcze bombki.

Kilka lat temu zupełnie nagle okazało się, że zaplanowany powrót do domu nie wchodzi w rachubę, trzeba pilnować jachtu, który był wówczas na Morzu Śródziemnym i Święta będziemy musieli spędzić w Turcji. Nie mieliśmy nawet opłatka. Była to moja pierwsza Wigilia spędzona na *HATTUSI* wraz z Markiem Przybyszewskim, kapitanem i właścicielem jachtu. Upiekliśmy coś w rodzaju macy, którą łamaliśmy się z zaprzyjaźnionym Kurdem, islamskim ortodoksem. Potem były smażone ryby, wino i piwo - które my piliśmy, oraz woda - którą zgodnie z nakazami Koranu pił Ramazan,



Porcja dla pięciu osób



W starej nawigacyjnej lampie naftowej płonie ogień wzięty z Grobu Chrystusa w Jerozolimie

a później na zmianę polskie „lulajże Jezuniu” i kurdyjskie pieśni ludowe. Dziwna to była Wigilia i pamiętam, że oboje z Markiem bardzo tęskniliśmy do domu.

Jeszcze bardziej egzotycznie wypały Święta spędzane w Afryce Południowej. Mieliśmy wtedy kłopoty z kuchenką i postną jajecznicę ze strusiego jaja robiliśmy na trawniku, na pożyczonym od przeraźliwie gru-

bej Murzynki prymusie. Tym jednym jajem najadło się do syta pięć osób naszej wyprawy.

Zeszłoroczna Wigilia znowu zaślata mnie i Marka na *HATTUSI* na Morzu Śródziemnym. Był to początek naszej podróży dookoła świata. Staliśmy w hiszpańskim Almerimar tuż przed skokiem na Atlantyck. Humory niespecjalnie nam dopisywały. Wiedzieliśmy już wtedy, że Liga

Morska, organizator naszego startu w Odysei 2000 nie wpłaci pieniędzy na tenże start, że nie ma załogi, nie ma obiecane finansowania, są natomiast mgliste obietnice - jednym słowem, że zostaliśmy wpuśczeni w maliny. Wtedy też Marek zdecydował, że płynie dalej bez względu na wszystko, nawet jeśli będziemy musieli liczyć tylko na siebie. Tę Wigilię spędziliśmy z Bobem - czeskim obieżyświatem, który miał już jedno okrążenie ziemi za sobą i teraz szykował się do następnego, i Żenią - Rosjaninem kapitanującym na wielkim, niemieckim jachcie po to, żeby zdobyć środki na własne żeglowanie. Lech, Czech i Rus to w wielkim, obcym świecie prawie rodzina. Święta też spędziliśmy rodzinnie: Wigilia u nas, pierwszy dzień Świąt u Żeni, drugi u Boba, a trzeciego wyruszyliśmy na Atlantyck.

Jakkolwiek hucznie i wesoło nie spędzałoby się Świąt Bożego Narodzenia, z dala od domu ogarnia mnie dziwna nostalgia - nawet jeśli jacht jest prawie moim domem. Najbliższą, ostatnią w tym tysiącleciu wigilię spędzimy znów na *HATTUSI*. tym razem w Australii.

## NOSTALGIA JONASZÓW

Bronisław Tarnacki

Rzadko, ale zdarzały mi się żeglarskie wigilie. Pierwsza była ćwierć wieku temu w regatach dookoła świata na *COPERNICUSIE*, którą spędziliśmy w Sydney, i ostatnia, w zeszłym roku, kiedy pływałem na *FRYDERYKU CHOPINIE* wokół Ameryki Południowej z Chrześcijańską Szkołą pod Żaglami - wigilia wypadła na Pacyfiku. Była też wigilia na Sesselach, gdzie budowałem stocznię.

Na *CHOPINIE* było bardzo po polsku, bardzo tradycyjnie i bardzo uroczyste, a pogoda nam sprzyjała. W wigilijny wieczór odbyło się wspólne spotkanie z krótką mszą w klasie, złamanie opłatkiem, a później w dwóch grupach - załoga szkolna i stała liczyła ponad pięć-

dziesiąt osób, zasiedliśmy do kolacji, która została przygotowana perfekcyjnie. Pamiętam zwłaszcza doskonałe ryby i wypieki, do których rękę przyłożyła pani Maria - nauczycielka fizyki i matematyki, zresztą cały kambuz stanął na wysokości zadania, nawet kucharz, do którego wcześniej bywały zastrzeżenia.

Atmosfera była rodzinna, ale wiadać było, że młodzież tęskni za domem, co objawiało się między innymi ilością pisanych listów, a w załodze wywoływało uwagi na temat Jonaszów, bo jak wiadomo marynarz w morzu listów nie powinien pisać. Ale oni pisali, a kapitan się zrywał, że stąd te braki wiatru. W końcu opracowana została specjalna metoda ob-

liczania współczynnika ilości Jonaszów w załodze, ale mimo to wszyscy szczęśliwie wróciliśmy do domu.

Wigilia 1974 roku w Sydney wypadła po 56 dniach żeglugi na *COPERNICUSIE* z Cape Town, w strefie czterdziestek, z najcięższymi awariami, jakie zdarzyły nam się w całym rejsie. Etap był zresztą bardzo trudny, wypadki śmiertelne, dużo porozbijanych jachtów. *OTAGO* przypłynęło ze złamanym masztem, a do tego zjawiliśmy się w Australii w okresie świąt, a więc wiadomo, że nic nie będzie można załatwić. Na szczęście był w Sydney polski statek *LUDWIK SOLSKI* z kapitanem Tunem, tak się zdarzyło, że jego wnuczek płynął ze mną na *CHOPINIE*.

I dzięki polskim marynarzom poradziliśmy sobie.

Na wigilię zaproszono nas do skromnej restauracji niedaleko portu. Była tam Polonia, emigracja lat pięćdziesiątych, jakaś jednak zagubiona i zamknięta w swoim świecie. Dziwnie tę wigilię celebrowali - ani po polsku, ani po australijsku - nami się nie przejmowali. Ja wtedy marzyłem tylko, żeby się wyspać. A poza tym była przed nami niewiadoma, czy zdążymy wyremontować jacht i wystartować dalej w regatach. Nawiasem mówiąc, na wniosek kapitanów całej flotylli, organizator przesunął nasz start. I o tym tego wieczoru głównie myśleliśmy.

zanotowała Mira Urbaniak



Wigilia na Seszelach

## PASTERKA NA MORZU OCHOCKIM

o. Edward Pracz, Krajowy Dyrektor Dzieła [Duszpasterstwa Ludzi Morza](#)

Kiedy kilka lat temu dowiedziałem się, że potrzebny jest kapelan na statku rybackim, zgłosiłem się. W listopadzie 1994 poleciałem na statek „Dalmoru” połowiący na Morzu Ochockim. W sumie było to siedem statków, na każdym kilkadziesiątu rybaków. To nie była ława misja. Spotykałem różnych ludzi, mających swoje poglądy, sposób myślenia, wartościowania, czasem wyrażających niechęć do praktyk religijnych i do tego przebywających sześć miesięcy w morzu. Mesa, ryba, koja i więcej nic. Cieszyłem się, że mnie polubili, bo tam nas jednako bujało, kiedy razem szliśmy do ryby i w czasie mszy świętej, w której uczestniczyło osiemdziesiąt procent załogi. I kiedy, dzięki zabranej z domu maszynie do włosów, odnosiłem sukcesy jako fryzjer.

Zbliżały się święta, a przede wszystkim, ten najtrudniejszy dzień na morzu - wigilia, kiedy ludzie otrzymawszy kartkę z domu zamykają się w swoich kabinach i myślą o zasiadającej do stołu rodzinie. Ale w tym dniu rybacy mieli jeszcze pełne ręce roboty - dosłownie, bo do naszego dobił statek po mączkę rybną

i trzeba było przetrzucić ileś ton worków niemal do samej kolacji.

Moment wigilii to chwila, kiedy „góra” łączy się z „dołem”. Kapitan z oficerami i zesłi do mesy, złożył życzenia, odczytałem fragment ewan-

geli, połamaliśmy się opłatkiem, zaszliśmy do kolacji, a po niej zaczęło się oczekiwanie na pasterkę. Większość z rybaków ostatni raz uczestniczyła w niej kilkanaście, a nawet dwadzieścia lat temu. Przyszli



Poświęcenie ryb na statku „Dalmoru” -ACRUX



Statek filipiński przy burcie polskiego. Katolicką załogę wzruszyła wizyta polskiego kapelana w taki dzień



Choinka w mesie załogowej

prawie wszyscy, w pełnej trzeźwości. Przygotowali dary ofiarne. Nie zapomnę rybaka, który przyniósł chleb i dziękował Panu Bogu, że tego chleba nie zabrakło jemu i jego rodzinie. Spędził trzydzieści trzy lata na morzu i to był jego ostatni rejs. Inny niósł rybę i dziękował za dwadzieścia pięć

lat pracy i że dzięki tej rybie mógł swoją rodzinę utrzymać. A kiedy „Wśród nocnej ciszy” huknęło w mesie, pomyślałem, że takiego chóru dawno nie słyszałem w żadnym kościele.

W trakcie wieczoru wigilijnego dobił do naszego statek z załogą fi-

lipińską, na którym kapitanem był Japończyk. Zabrałem opłatek i poszedłem do kapitana, który był bardzo zdziwiony. Powiedziałem mu, że polski zwyczaj łamania się chlebem oznacza dzielenie się pracą, znak przebaczenia, jedności i solidarności międzyludzkiej-wyciągnął do mnie rękę i powiedział, że na dole jest katolicka załoga. Wszedłem i zobaczyłem biednych, spracowanych Filipińczyków, którzy gdy po wielu miesiącach w morzu i w takim dniu spotkali kapłana, zaczęli płakać. Trudno było mi cokolwiek powiedzieć. Właściwie rozplakałem się z nimi, połamałem opłatkami i poślęgałem.

Ludzie morza to ludzie głębi. Statek to mała skorupka czy puszka w ogromnym kosmosie. Kiedy wyjdzie się w nocy na pokład, popatrzy na gwiazdy i na ten maty statek kiwający się na falach, to przecież myśli się: czym ty jesteś wobec tego ogromu i potęgi...

zanotowała Mira Urbaniak